

Na razie mijamy szłaś góralski z wyświeżonymi nad podziw jego mieszkańcami i jedziemy wprost do schroniska, które jest ciche i robi wrażenie zupełnie pustego. Są to jednak tylko pozory. Wchodzimy po schodach i w drzwiach, obok wielkiej tablicy informującej o sławnym wyczynie polskich ratowników w ostatnim okresie wojny, w wyniku którego ocalono rannych radzieckich partyzantów, wita Ojca Świętego kierowniczka schroniska pani Pawłowska w otoczeniu ubranych kolorowo ratowników. Jest wielkie wzruszenie, jest taca z pokrajanym oscypkiem, jest naręcze pięknych róż, ale nade wszystko są serdeczne i proste słowa o Tatrach, które z radością i wzruszeniem witają swego wielkiego Przyjaciela i Miłośnika w samym ich sercu. Nie trwa to wszystko

długo, bo czasu niewiele, a trzeba przecież pójść naprawdę w te góry, tak jak dawniej, a więc nie na proponowanych grzecznie wojskowych łazikach, ale w ciężkich turystycznych butach, choć w białej sutannie i z papieskim krzyżem na piersi. Będzie i plecak – niesiony, co prawda, przez troskliwego i czujnego księdza Fidelusa, ale przypominający to „dawniej”, kiedy to ten dzisiejszy Najdostojniejszy Turysta chadzał tędy wmieszany w szary tłum miłośników Tatr.

Ojciec Święty wraz z osobami towarzyszącymi wchodzi do schroniska, jak się okazuje, tylko z pozoru pustego... Na pierwszym piętrze, w holu obok jadalni, zatrzymuje się, bo tu odbędzie się spotkanie z Lechem Wałęsą. Reszta uczestników wyprawy idzie na drugie piętro, gdzie przygotowane są pomieszczenia przeznaczone na przyjęcie Ojca Świętego.

Po pewnym czasie Ojciec Święty nadchodzi, zmienia swoje „uroczyste” obuwie na solidne turystyczne buty i jest gotów do drogi. Zapada definitywna decyzja, że ani Grześ, ani Wyżnia, ale Jarząbca z jej biało-czerwonymi znakami wyprowadzającymi na Trzydniowiański i dostojną Starą Robotę. Tam będzie i dużo tatrzańskiej zieleni, i towarzyszący beztrudno górski potok, i cudowny widok na zalaną słońcem Wyżnię Chochołowską, obwiedzioną Długim Upłazem, z wetkniętymi w niego Grzesiem i Rakoniem, a dalej Wołowcem i Łopatą. Wszystkie te szczyty, zbocza i doliny zostały przez Ojca Świętego przemierzone wszczep i wzdłuż, w lecie, a zwłaszcza w zimie.

Ojciec Święty z małą grupką towarzyszących Mu osób duchownych i świeckich zszedł energicznie ze schodów schroniska i popularną drogą, dość stromo opadającą w dół, skierował się ku odbijającej paręset metrów innej ścieżce-dróżce prowadzącej do Doliny Jarząbcej. Pogoda była wyjątkowa jak na koniec czerwca i południową porę. Wiadomo, że w górach w tym czasie burze są czymś zwyczajnym. W tym dniu było cicho, słońce świeciło radośnie, ale nieupalnie, niebo było bez chmur, kontrastowało swoim błękitem z zielenią spokojnie stojących lasów.

Pierwszy króciutki przystanek miał miejsce w góralskim szałasie pana Zięby. Ustalono, że dłuższy przystanek będzie tu w drodze powrotnej.

Od szałasu do skrzyżowania na ścieżkę z biało-czerwonymi znakami jest niedaleko. Przekraczamy mostek na toczącym kryniczne wody potoczku (to on właśnie zostanie pobłogosławiony) i zanurzamy się w zielonym żywiole strzelistych świerków i zielonego poszycia leśnego. Idziemy szybko, tak jak się idzie na początku, a nie na końcu górskiej wyprawy. Ojciec Święty jest w świetnej kondycji. Aż dziw bierze, że jest taki świeży po tym prawie trzydniowym maratonie pielgrzymkowym. Wyraźną przyjemność sprawia mu stąpanie po normalnej, górskiej dróżce, raduje go ta soczysta zieleń tatrzańskich lasów, upaja ta niemal dotykalna cisza górskiej doliny. Ktoś próbuje nieśmiało coś mówić, ale co to za mówienie w takich warunkach, w takich okolicznościach,

z „takim” Rozmówcą. Krzyżują się ciche, ale pogodne uwagi między uczestnikami; wszyscy wiedzą jedno: to ma być jego wypoczynek, radosne jego spotkanie z ukochanymi górami. Po paruset metrach las ustępuje zalanej słońcem polanie, u której początku stoi, jak się później okazało, historyczny krzyż, mocno osadzony na solidnej podmurówce. A z polany roztacza się ta wspaniała panorama zboczy Łopaty, Wołowca i Długiego Uplazu oraz sfalowanego piętra Wyżniej Doliny Chochołowskiej. Nie spuszcza myśli z tej na niebiesko zabarwionej dalekiej przestrzeni. Idziemy zwartą gromadą, na której czele idzie Ojciec Święty z wymieniającymi się rozmówcami. W pewnym jednak momencie Ojciec Święty zostaje na przodzie sam; towarzysze drogi zostają w tyle i ściszą prowadzone rozmowy. Chodzi o to, by dawnej tradycji stało się zadość, żeby Ojciec Święty tak jak za tamtych lat, po krótkiej swobodnej pogawędce, został z górami zupełnie sam. Inicjatywa otoczenia została przyjęta skwapliwie i Ojciec Święty w ciszy i skupieniu, wysunięty nieco przed towarzyszącą mu grupę, kontynuował swoją górską wyprawę. Niemal natychmiast w tym samotnym marszu pojawił się w jego ręce różaniec z drewnianych ziarenek nanizanych na brązowy sznurek – różaniec fatimski. Pochylony nieco przy podchodzeniu pod dość stromy garb zalesionego holwegu, w charakterystyczny sposób – z nieco skrzywioną na prawą stronę głową – stanowiący niechybny znak głębokiego zamyślenia, machał tym swoim różańcem, nie zwalniając kroku. Dochodziła niemal godzina dość forsownego marszu. Na kilkadziesiąt kroków od zbaczającego energicznie na lewo biało-czerwonego znaku i majaczącej pośród drzew Wyżniej Doliny Jarzączej ksiądz prałat Stanisław Dziwisz zarządza postój na krótki odpoczynek. Schodzimy ze szlaku w kierunku płynącego obok potoku. Ojciec Święty siada na rozkładanym krzeselku przy również rozkładanym stole, na którym ksiądz kanclerz wyklada przyniesione przez siebie w plecaku zapasy. Jedzenie jest takie, jakie było ongiś: proste, ale starannie przygotowane przez troskliwe siostry. Ceremoniał posiłku jednak jest zdecydowanie inny od „niegdysiejszego”, zwłaszcza przez te rozkładane rekwizyty turystyczne. Chwilami wydaje się, że można, a nawet trzeba było z nich zrezygnować, ale z drugiej strony – do przekonania przemawia refleksja, że przecież sytuacja tamtych czasów uległa radykalnej zmianie i w konsekwencji obowiązują nowe prawa i nowy ceremoniał. Tamto nie może już wrócić w niezminionej postaci.